Rok 1937 3 stycznia Nr. 1

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Rok po roku...

Jestem starszy o rok cały!
Nikt nie powie już, żem mały,
Że wśród dzieci miejsce moje,
Bo się nawet cienia boję.

Może było tak przed rokiem.
Dzisiaj mrugam na to okiem,
Bo już wszystko się zmieniło,
Gdy rozumu mi przybyło.

Przecież ja już z książki czytam!
Już nie nudzę i nie pytam —
Jak to było dawniej — mamy,
Chociaż zawsze się kochamy.

A gdy jeszcze rok przeminie,
A gdy takich pięć upłynie,
Boże, Boże, coś jest w niebie,
Jak ja kochać będę Ciebie!

Boć z rozumem serce rośnie —
I w tej cudnej dziecka wiośnie
Tobie służyć pragnie wiernie,
Nim je zranią życia ciernie.

Ale ja tak rok za rokiem
Przeżyć pragnę pod Twym okiem,
Rok po roku — aż do końca,
Po ostatni zachód słońca.



O ptaszkach, które sypiają pod pierzynkami śniegu

Istnieje prześliczny obraz polskiego malarza Józefa Chełmońskiego, przedstawiający wśród smutnego zimowego krajobrazu stadko kuropatw. Błądzą tam biedne ptaszyny po ziemi pokrytej grubą warstwą śniegu i z pochylonymi w dół główkami szukają żywności. Niektóre z nich przysypał już puch śnieżny, a widok ten mimowoli nasuwa na myśl pytanie, co poczną te biedactwa, gdy przy wtórze świstu wichury i coraz wzmagającym się mrozie rozszaleje się śnieżna zadymka.

Co poczną? Zamarzną, wyginą ptaszki bezradne, bo któż w czas okrutnej zimy wyjdzie na zawalone śniegami pole, by sypać im pożywienie. A zresztą, czyż komu na wsi tak bardzo zależy na ich życiu, skoro niekiedy brak jedzenia dla własnego drobiu? Mogliby pomyśleć o tym myśliwi, którzy przez całą jesień polują na kuropatwy z psami gończymi. Ale gdzież są oni? Przyjechali, zapolowali i odjechali sobie, czy odeszli do swych domów, obwieszeni martwymi ciałami rdzawo-szarych ptaszków, których nawet najsroższa zima nie zmusi do odbycia dalekiej podróży ku stronom cieplejszym. Przetrwać muszą wśród rodzinnych skib, chociaż one stają się dla nich niekiedy ziemią cmentarną.

Zdarza się nieraz, iż chcąc ratować swe życie, podchodzą kuropatwy bliżej do wsi, a znęcone podsypanym umyślnie ziarnem od progu stodoły aż ku polu, coraz bardziej zapominają o koniecznej przezorności. Krok za krokiem zbliżają się do otwartej na oścież stodoły... Cóż dziwnego, że zziębnięte, zgłodniałe, uwierzą w gościnność człowieka? Tak ciepło tu i przytulnie, a ziarno pachnie, aż mdli...

I oto nagle zatrzaskują się za stadkiem szerokie wrota. Rozpoczyna się dzika gonitwa, biedne kuropatwy giną, chwytane przez podstępnych żywicieli.

Na każdym zresztą kroku czyha na nie wróg. Dniem myśliwy, czy też rabuś

powietrzny — ostrowzroki jastrząb, albo zdradzieckie sidła zastawione z przynętą przez wnykarza. Nocą — łakomy krwi ciepłej tchórz, lub krzywonosa sowa, straszliwy postrach wszystkich kuropatw i jarząbków. I nic nie pomoże nawet, że się zagrzebią po sam czubek w świeżo spadłym śniegu, chcąc pod białą pierzynką przespać długą noc zimową; wszędzie wypatrzą je zbójeckie oczy, widzące w ciemności lepiej niż w świetle dnia. Zawiśnie nagle nad drzemiącą ptaszyną duży cień o rozpostartych skrzydłach, a mocne szpony oderwą ją od ziemi i poniosą do dziupli, gdzie już czekają na nocną wieczerzę zgłodniałe sowięta.

Całe szczęście tego nieszczęsnego rodu ptasiego jest to, że się licznie rozmnaża, i pewnie nigdy nie zabraknie myśliwym przyjemności, jaką stanowi dla nich jesienne polowanie na kuropatwy.

Są to najpospolitsze w Polsce ptaki łowne, znane we wszystkich jej dzielnicach, zarówno na Litwie i Pomorzu, jak na Śląsku i Podolu. Jednak więcej ich jest na zachodzie i w Polsce środkowej, mniej zaś na kresach wschodnich, gdzie klimat ostrzejszy i zimy bywają sroższe. Ale i tam już powoli zaczynają się osiedlać, tym bardziej, że ułatwia się im życie przez urządzanie specjalnych schronów na czas zimowy.

Przy końcu kwietnia składa samiczka około 15 jajek, a już z końcem maja słychać po polach głośne „czirińkanie" licznego stadka. Młode, jak małe myszki, smykają popod trawami zbóż, a matka raz po raz swym nawoływaniem, które brzmi jakby „cziriń... cziriń..." roztacza nad nimi opiekę. Po żniwach, gdy stracą na polach bezpieczne schrony, przenoszą się na kartofliska, między buraki, koniczyny i łubiny; pełno ich też w ścierniskach, na łąkach, w niskich gajach i po zrębach leśnych.

Im późniejsza jesień, tym stają się ostrożniejsze, zrywają się za każdym chrzęstem i odlatują daleko nieraz kilometrami. Nachodzi się też niemało za nimi myśliwy, a jeśliby się wybrał bez psa, nic nie upoluje, bo kurki pierzchać mu będą ciągle z przed samego nosa. Straż nad stadem trzyma stary kur, który jest bardzo dobrym ojcem i przezornym stróżem, zna doskonale niebezpieczeństwo, jakie stale grozi gromadce od kotów, lisów, jastrzębi.

Im zima łagodniejsza i początek wiosny suchszy, tym liczniej zaroją się w jesieni pola i łąki mrowiem szarordzawych ptaszków, tak, że niekiedy setkami całymi stają się ofiarą myśliwskich strzelb. Najbogatsza w nie jest Wielkopolska, gdzie nawet bez psa obejść się można, gdyż co chwila przed łowcami zrywają się pod obstrzał nowe stada.

Z ptaków — kuropatwa, a z czworonogich — zając, są to zwierzęta, które stanowią największy procent zwierzyny, jakiej dostarczają jesienne łowy.



Król Stefan Batory, którego 350-tą rocznicę śmierci w Grodnie obchodzono świeżo w kraju, choć Węgier z pochodzenia, był jednym z najlepszych władców Polski i gdyby żył dłużej, byłby ją doprowadził do szczytów świetności. — Prochy jego kryją podziemia katedry wawelskiej, gdzie każda wycieczka węgierska przyjeżdżająca do nas, składa zawsze wieniec ku czci swego wielkiego rodaka.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marian Warta.

(Ciąg dalszy).

— Zapominasz, mamo, jako kobieta, że właśnie takie rzeczy dzieją się na wojnie; że zresztą wojna składać się nieraz musi z podobnych czynów, jakie ty w swej szlachetności nazywasz niegodziwymi.

— Zapewne, synu, że wojna nigdy nie może się obejść bez przelewu krwi i łez, ale nie chciejże do jej grozy dodawać jeszcze hańby, jaką po wszystkie czasy pozostaną postępki zdradzieckie, a nade wszystko niegodne człowieka pastwienie się nad bezbronnymi kobietami i dziećmi...

Nastała chwila milczenia.

Józef przymknął oczy i słuchał słów matki, nie patrząc na nią. Szukał w myślach wyrazów, którymi mógłby odeprzeć łagodne zdania cichej matki, zapadające głęboko w duszę młodzieńca.

— Słuchaj — zagadnęła go znowu po chwili — czy byłbyś zdolny, spotkawszy na drodze, zabić dziś te kobiety: jego matkę i żonę, albo które z ich dzieci?

— Cóż znowu! — obruszył się młodzieniec. — To byłoby zbójectwem z mej strony!

— A czym będzie tamto — spytała drżącym głosem żałobna wdowa — jeżeli podkradniesz się nocą przez podkop do ich domu i dymem całą rodzinę wydusisz i na węgiel spalisz? Znajdź mi na to nazwę...

Józef nic nie odpowiadał.

Pokój na chwilę zaległa cisza, wśród której słychać było łomotanie serca w piersi młodzieńczej, głośniejsze od tykania zegaru.

Zagłębił się w myślach i naraz przez zamknięte oczy dojrzał samego siebie, jak z żagwią płonącą, ukradkiem podsuwa się pod okno śpichlerza, by wszcząć pożogę.

Jakiś dreszcz wstrętu wstrząsnął nim i od tej chwili coś się w nim załamało. Uczuł, że mu będzie coraz trudniej bronić się przed zarzutami, jakimi zasypywała go matka.

Wtem weszła Weronika, odwołując w jakiejś pilnej sprawie gospodynię na dziedziniec.

Młodziutki wojownik został sam ze swymi myślami.

— Jakto, miałbym zaniechać zemsty! — szepnął do siebie i dziwnie żal zrobiło mu się całego pomysłu, nad którym tak długo pracował wyobraźnią i który sobie w najdrobniejszych szczegółach przygotował, pewny, że mu plan ten musi powieść się w zupełności.

Mijały godziny, a on sam z sobą staczał rozpaczliwą walkę, by znowu oko w oko stanąć przed matką, która mu tłumaczyć będzie, że krwawą zemstą, jakiej pragnie dokonać, nie uczci pamięci ojca.

Kiedy matka przysiadła się przy nim, na nowo wyczytała z twarzy syna, że on się męczy w rozdwojeniu, w jakie go wtrąciły jej słowa. Pocałowała go w czoło skropione i jęła mówić dobrotliwym głosem:

— Widzę, moje drogie dziecko, że tobie trudno rozstać się z myślą o zemście, która, jak ci się zdaje, przyniosłaby nieco ukojenia w wielkiej żałości po stracie ukochanego ojca i brata. Ale zastanów się tylko, że na to, by sobie samemu ulżyć w boleści marną rozkoszą zemsty, chcesz drugim sprawić boleść jeszcze straszniejszą. Wszak Boliwanow choćby był największym nikczemnikiem, to jednak kocha starą matkę, którą niedawno aż z Syberii tu sprowadził; kocha swą dobrą żonę, która powstrzymała go od największego upadku moralnego; kocha swe śliczne dzieci, w których tyle nadziei pokłada... I ty zamierzasz za jednym zamachem zgładzić ze świata to wszystko, co stanowi szczęście jego życia?...

— Matko, a czyż on nie zasłużył na to?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Biedny milioner

Różni bywają na świecie ludzie. Jedni nie mogą żyć bez towarzystwa drugich; inni znowu wolą samotność. Właściwie człowiek bez drugiego człowieka prawie że obejść się nie potrafi. Zresztą już sama miłość bliźniego, nakazana nam przez Stwórcę, wymaga, byśmy współżyli z sobą. Z drugiej znowu strony i samotność jest nam bardzo potrzebna. W samotności bowiem łatwiej usłyszeć głos duszy, która wydziera się do życia wyższego. Jakże często uchodził w samotność Pan Jezus, On, który i wśród najliczniejszych rzesz ludzkich, był zawsze duchem wysoko.

Ale bywają ludzie, którzy samotności chcą dla siebie jedynie z powodu swego dziwactwa. Takimi najczęściej są wielcy bogacze, milionerzy, których życie samolubne upływa na niczym, bo nie są oni zdolni do zajęcia się losem biedniejszych i zużytkowania dla ich dobra swoich bogactw.

Żyje właśnie w Ameryce jeden taki samotny milioner i warto wiedzieć jak sobie urządził życie. Oczywiście nie mieszka on w żadnej pustelni na odludziu, lecz kazał pewnemu inżynierowi wybudować sobie dom z takim urządzeniem elektrycznym, za pomocą którego może się prawie zupełnie obywać bez czyichś posług. Przede wszystkim nie potrzebuje u wejścia do pałacyku czuwać odźwierny, gdyż w razie zapukania gościa, natychmiast sygnał elektryczny daje o tym znać. Nie zostanie on oczywiście wpuszczony do wnętrza, bo dziwak nie życzy sobie widywania się z ludźmi i wszystko, co ma do załatwienia, załatwia za pomocą telefonu lub radia.

Nie potrzebuje on zdobywać się na najmniejszy nawet wysiłek, gdyż prawie wszystko robi się samo. I tak np. z chwilą zapadania mroku, w pokojach zasuwają się w oknach zasłony i zapalają światła, które też same gasną wtedy, gdy milioner ma ochotę kłaść się do łóżka. Skoro tylko barometr wskaże piękną pogodę na dworze, a termometr dostateczne ciepło, samoczynnie otwierają się okna dla przewietrzenia mieszkania, w razie zaś zbliżania się burzy lub chłodu, natychmiast zamykają. Chcąc przejść do innego pokoju, nie potrzebuje on nawet trudzić się otwieraniem drzwi, gdyż wystarczy stanąć na odpowiedniej tafli podłogi, aby same się natychmiast rozwarły.

(Dokończenie nastąpi.)

Mojej dobrodziejce

Pani Róży Kuczkiewiczowej — za pozwoleniem „Dzwoneczka“ — składa życzenia wdzięczna góralka z Zawoi

O, gdybym ja była słoneczkiem na niebie
Świeciłabym jasno swej Pani w potrzebie
Lecz jestem dziewczynką zdala, o mój Boże
Jakże ja życzenia drogiej Pani złożę?

Te skromne życzenia, lecz z serca szczerego
Poślę na karteczce „Dzwoneczka“ małego.
Ten „Dzwoneczek“ miły w całej Polsce dzwoni
I odemnie Pani grzecznie się pokłoni.

Też za dobrodziejstwa ślicznie podziękuję
I szczęścia i zdrowia z serca powinszuję
Niechajże Cię Pan Bóg łaską Swoją wspiera
O to Go dziś prosi ma modlitwa szczera

Bolesława Zimmermanówna.



Jak polska pyza wędrowała

I.

Mazowiecka gospodyni
W wielkiej misce ciasto czyni
Zaczyniła, rozrobiła,
Z ciasta pyzy urobiła.

(Ciąg dalszy nastąpi)